

AUTOR WYKŁĘTY

Czarna legenda Marka Hłaski była świadomie fabrykowana w PRL i przetrwała do dziś - mówił Andrzej Czyżewski, biograf i cioteczny brat pisarza, w rozmowie z Filipem Gańczakiem. Przypominamy ten wywiad.



Marek Hłasko (1934-1969) syn prawnika i urzędniczki jako nastolatek pracował m.in. w charakterze kierowcy, ale szybko stał się znanym pisarzem. Już debiutancki tom opowiadań *Pierwszy krok w chmurach* (1956) przyniósł mu dużą popularność i nagrodę Polskiego Towarzystwa Wiedźców Książek. W krótkim czasie na podstawie prozy Hłaski powstały filmy: *Pełta* (1957), *Ósmo dzień twaodnia* (1958) i *Raza ludzi umarluch* (1958). W roku 1958 pisarz wjechał do Francji, gdzie otrzymał nagrodę literacka norwjskiej „Kulturv”. W kolejnych latach mieszkał m.in. w Berlinie Zachodnim, Izraelu i USA. Zmarł w RFN; przwieta, że przyczyna śmierci było przedawkowanie środków nasennych w połączeniu z alkoholem. W PRL przez wiele lat książki Hłaski nie były wydawane.

Pokazywał to, co konsekwentnie pomijała propaganda komunistyczna: brzydotę, demoralizację, niespełnione marzenia. Jak to się stało, że w połowie lat pięćdziesiątych mógł zaistnieć w literaturze polskiej pisarz tak niepokorny jak Marek Hłasko?

Też się zastanawiałem nad tym fenomenem. Marek był człowiekiem atrakcyjnym towarzysko, umiejącym zjednywać sobie ludzi - i chyba oprócz niewątpliwego talentu

również te cechy jego charakteru odegrały jakąś rolę.

A jego pochodzenie?

Pochodzenie inteligenckie przeszkadzało wtedy we wszystkim – także komuś, kto miał zamiar debiutować jako pisarz. Stąd się wzięła mistyfikacja z pochodzeniem robotniczym Marka. Wymyślił ją bodajże wrocławski literat Stefan Łoś. Pozornie wszystko się zgadzało – z oficjalnych dokumentów zatrudnienia wynikało, że Marek pracował wyłącznie jako kierowca, nie skończył żadnego liceum, był korespondentem robotniczym „Trybuny Ludu”, czyli w zasadzie miał same plusy. Uwierzył w to pisarz Igor Newerly. Przedstawiał potem Marka jako chłopaka z „czarnymi od smarów paluchami”, który po pracy pisze opowiadania. Z rzeczywistością miało to niewiele wspólnego, bo z chwilą gdy Hłasko na dobre zaczął pisać, już nie pracował. A z książkami stykał się w domu od najwcześniejszego dzieciństwa.

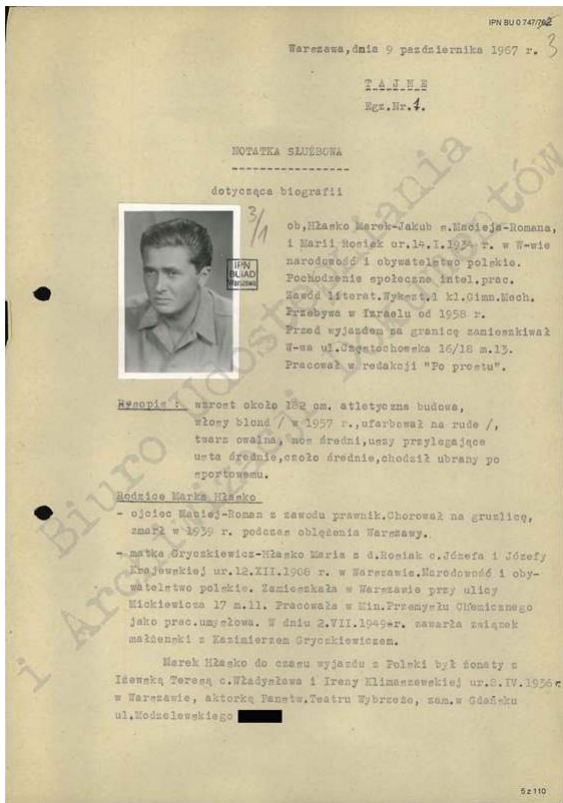
W tamtym czasie pisarz mógł być w Polsce pupilem władzy, ale mógł też być bezwzględnie tępiony.

Przykładano wtedy bardzo dużą wagę do literatury i nie tylko – do różnych dziedzin sztuki. Władze chciały pozyskać artystów – literatów, aktorów czy malarzy – a więc ludzi, którzy są znani i wpływają na opinię publiczną. Wówczas, po wojnie, w nieporównywalnie większym stopniu niż dzisiaj wyczekiwało się na wydanie nowej książki czy nową sztukę teatralną. *Popiół i diament* Jerzego Andrzejewskiego czy *Niemcy* Leona Kruczkowskiego to były wydarzenia! Wszyscy o tym pisali i mówili. Rola literatury była znacznie większa niż obecnie.

Hłasko szybko stał się pisarzem wyklętym.

Bo w swoim pisaniu odbiegł od spraw obyczajowych, tzn. opisywania zwykłych ludzkich historii, a tknął największą wówczas świętość, czyli partię. W jego *Cmentarzach* znajdziemy na przykład niezmiernie zjadliwy opis zebrania partyjnego. Takich rzeczy już nie wybaczano. To był ten moment, kiedy władze zaczęły o Hłasce myśleć jako o pisarzu niebezpiecznym. Inna rzecz, że dla normalnego człowieka było niepojęte, w jaki sposób ten dwudziestoletni chłopak miałby obalić system, u którego podstaw leżało przekonanie, że jest potężny i niezwyciężony.

Już w maju 1945 roku jedenastoletni Hłasko opisywał, jak „całe pociągi odchodzą z AK na Kamczatkę i Syberię”.



Zaskoczył mnie ogromnie ten zapis w jego dzienniku. W Częstochowie – bo tam wtedy mieszkał Marek – musiało się o tym mówić. Ale nie była to wiedza zbyt powszechna. Nie zapominajmy, że w wielu domach nie było wtedy telefonów, a prasa była cenzurowana. Pozostawały więc tylko rozmowy twarzą w twarz z ludźmi, którzy gdzieś coś widzieli. Później jednak, w tych najgorszych stalinowskich latach, nawet w kręgu najbliższej rodziny nie mówiło się otwarcie o sprawach politycznych. Ludzie z dnia na dzień znikali – i nie wiadomo było, czy gdzieś wyjechali, czy może trafili do więzienia. Od 1946 roku obaj z Markiem mieszkaliśmy we Wrocławiu. Marek miał wtedy kilkanaście lat. W tym wieku ludzie na ogół nie bardzo zajmują się polityką. Nikt z rodziny Marka nie zapisał się jednak do partii.

On też nie. A o tym, co myślał o władzy później, mówi jego literatura.

W książkach, które pisał jeszcze w Polsce, jest sporo odniesień do sytuacji politycznej.

Oczywiście. Już pierwszy jego większy utwór – wydany na początku w odcinkach pod tytułem *Głupcy wierzą w poranek*, a dziś znany bardziej jako *Następny do raju* – to z pozoru piękna opowieść o kierowcach, ale jest tam jedno zdanie na samym końcu, kluczowe dla całej książki: „Zamieniliście życie w tak wielki koncentrak, że nie potrzeba nawet drutów kolczastych i strażników, psów i karabinów maszynowych”. I nagle z tej historii robi się ostra powieść polityczna. Tyle że wówczas jeszcze mało kto zwrócił na to uwagę.

W lutym 1958 roku – krótko po otrzymaniu nagrody Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek – Marek Hłasko wyjechał do Paryża. Do rodzinnego kraju nigdy już nie wrócił.

Pierwszy powód wyjazdu Marka był najzupełniej zwyczajny. Jest marzeniem niemal każdego młodego człowieka, żeby poznać świat. W tamtym czasie – kiedy nawet podróż do socjalistycznej Czechosłowacji stanowiła problem – już wyjazd na tydzień za granicę był dużym przeżyciem. Literaccy przyjaciele Marka wzdychali do Paryża, więc i on chciał zobaczyć, jak tam jest. Złożył podanie o stypendium. Pisał do Antoniego Słonimskiego, ówczesnego prezesa Związku Literatów Polskich, że nie chciałby zgłupieć zupełnie w Polsce pośród plotek. Jesienią 1957 roku dostał upragnione stypendium. Później jednak pojawiły się trudności. MSW cofnęło zgodę na wydanie Markowi paszportu. Tyle że minister kultury, świadomie lub nie, zignorował tę zmianę decyzji i paszportu nie odebrał.



Andrzej Czżewski (ur. 1930) – architekt, absolwent Politechniki Wrocławskiej; jest ciotecznym bratem pisarza Marka Hłaski; w 1987 roku odziedziczył jego archiwum; opracował i wydał jego *Pamiętnik 1945–1946* (2002) oraz biografie *Piękny dwudziestolecie* (2000, 2005 i 2012); jest również autorem książki *Profesor Kazimierz Wejchert: w stulecie urodzin* (2012); mieszka w Tychach.

W książce *Piękny dwudziestolecie* sugeruje Pan, że nie był to przypadek.

Jestem prawie pewien, że była to intryga mająca na celu wypchnięcie Marka – wówczas już pisarza niewygodnego – z Polski. Przekonałem się o tym po otrzymaniu dokumentów z archiwów MSZ i IPN. Nie wyobrażam sobie, żeby Hłasko – już po zamieszczeniu powstałym w związku z zakazem wydania mu paszportu – mógł oszukać władze i tak po prostu odlecieć do Paryża. Sam zakup biletu był już z punktu widzenia ówczesnego prawa niedopuszczalny. Za przelot Marka zapłacił czekiem zaprzyjaźniony korespondent amerykańskiego „New York Timesa”. W tamtych czasach nie można było bez zezwolenia wywieźć z kraju własnych 10 dolarów. Tym bardziej było nie do pomyślenia, żeby ktoś zapłacił za bilet lotniczy człowiekowi bez żadnych powiązań rodzinnych.

A Hłasko nie wiedział, że to intryga?

Możliwe, że zdawał sobie z tego sprawę. Tylko po prostu postawił wszystko na jedną kartę. Ktoś mógł mu tak doradzić. A jemu ogromnie zależało na wyjeździe. Jeszcze w 1957 roku Marek nawiązał kontakt z Jerzym Giedroyciem, który w Maisons-Laffitte pod Paryżem prowadził Instytut Literacki i wydawał słynną „Kulturę”. Giedroyc był bardzo zainteresowany wydaniem *Cmentarzy* Hłaski – maszynopis przewiozła już wcześniej Agnieszka Osiecka. Marek wiedział, że w Maisons-Laffitte czekają na niego pieniądze. I po prostu zdecydował się jechać. A potem, dwa tygodnie po jego wylocie, wybuchła awantura,

że pozwolono mu na wyjazd. Minister kultury Karol Kuryluk honorowo wziął to na siebie i wkrótce został odwołany.

W momencie wyjazdu Hłasko zakładał więc, że po kilku miesiącach wróci?

Tak. On na pewno nie miał długofalowych planów pozostania na Zachodzie. Ale start we Francji miał niewątpliwie udany. Już w końcu marca 1958 roku nakładem Instytutu Literackiego wyszły w formie książkowej *Cmentarze* i *Następny do raju*. Za tym poszła nagroda literacka „Kultury”...

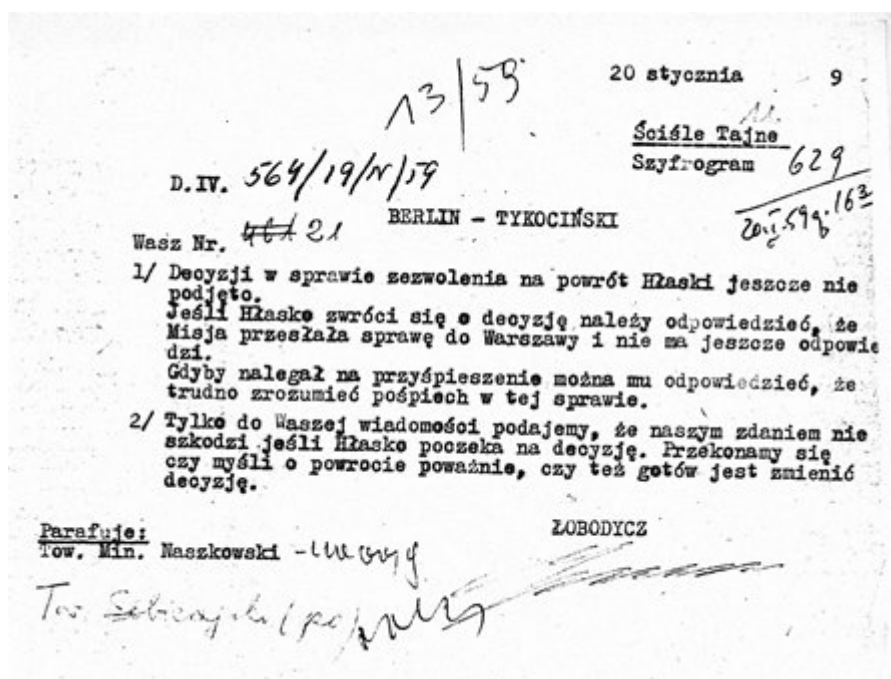
...a w kraju paszkwił w „Trybunie Ludu”.

Dość wredne teksty o Marku ukazały się też w „Polityce” i „Sztandarze Młodych”. Ale na przykład Polskie Radio jeszcze w kwietniu 1958 roku przeprowadziło z nim rozmowę telefoniczną. Maria Dąbrowska napisała o Marku dość odważny tekst, tyle że czekał na publikację aż do 1984 roku. Ugrzązł też pozytywny artykuł Bogdana Suchodolskiego. W każdej redakcji w Polsce byli wtedy ludzie przyzwoici i osoby przeznaczone do spełniania określonych zadań.

Czy Hłasko zdawał sobie sprawę z tego, że publikując *Cmentarze*, być może zamyka sobie drogę powrotu?

Tak. Wcześniej błagał Giedroycia, żeby nie publikować *Cmentarzy* na jesieni 1957 roku, bo wiedział, że jeśli tak się stanie, to nigdy z Polski nie wyjedzie. Kiedy był już w Paryżu, postanowił jednak zaryzykować. Zresztą te wszystkie perturbacje z wyjazdem uświadomiły mu, że w Polsce tak czy inaczej mogą być kłopoty z dalszym pisaniem. Przypuszczam, że Giedroyc i inni ludzie z kręgu „Kultury” raczej odradzali mu powrót.

Dlaczego jednak Marek Hłasko opuścił Maisons-Laffitte?



Giedroyc bardzo nad tym ubolewał. Twierdził, że Marek zniknął w momencie, gdy otwierała

się przed nim wielka kariera. Moim zdaniem, zrobił tak pod wpływem Janka Rojewskiego, którego znał jeszcze z Polski, a który teraz odnalazł go na Zachodzie. To prawdopodobnie on ściągnął Marka do Niemiec. Wkrótce wyjechali razem do Włoch. Mieli tam załatwiać prolongatę paszportu Marka. Ambasada PRL w Rzymie wystąpiła do centrali w Warszawie z pytaniem, czy może przedłużyć ważność paszportu. Nadeszła kategoryczna odpowiedź odmowna. Odesłano Marka do Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim. Wydaje mi się, że była to świadomie zastawiona pułapka. Do Berlina Zachodniego każdy mógł wjechać bez dokumentów, ale wyjechać bez wizy i ważnego paszportu już stamtąd nie było można. A wtedy właśnie – w październiku 1958 roku – definitywnie kończyła się ważność paszportu Marka. Mógł więc albo wracać do Polski, albo poprosić o azyl. Jestem przekonany, że powrót byłby równoznaczny z aresztowaniem.

23 stycznia 1959 roku Mieczysław Rakowski, redaktor naczelny „Polityki”, zanotował w swoich Dziennikach politycznych słowa Władysława Gomułki: „Hłaskę po powrocie z zagranicy natychmiast trzeba zamknąć”.

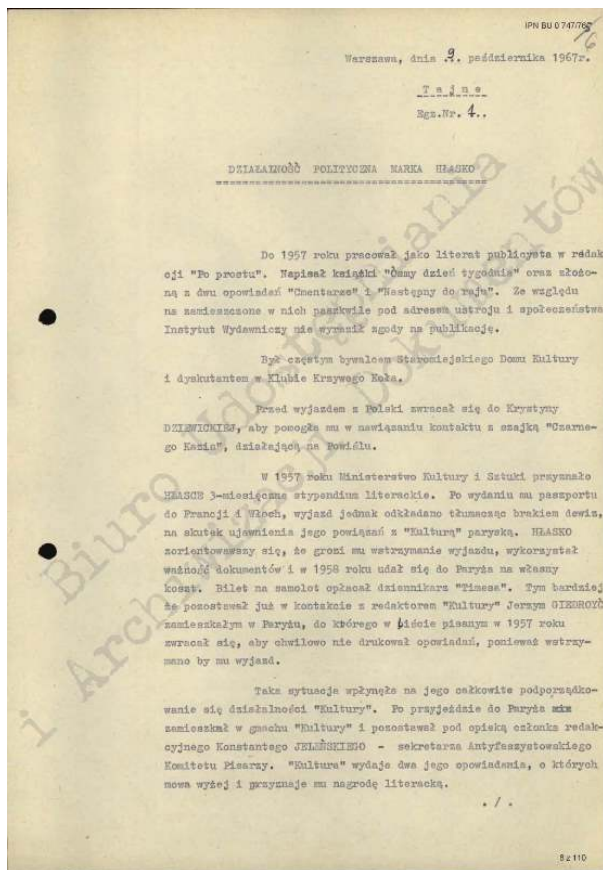
Pamiętajmy, że rok wcześniej Hannę Skarżyńską-Rewską skazano na trzy lata więzienia za sam kolportaż wydawnictw Instytutu Literackiego. Marek zrobił rzecz z punktu widzenia władz PRL dużo gorszą – wydał w Instytucie antysocjalistyczną książkę. Moim zdaniem, jest więc pewne, że gdyby do Polski wrócił, zostałby aresztowany.

Zdecydował się zatem na azyl. Z Niemiec wyjechał w styczniu 1959 roku do Izraela.

Prawdopodobnie znów za namową Rojewskiego. To u niego zatrzymał się bezpośrednio po przyjeździe. Rojewski szybko się później ulotnił, pozostawiając Marka w Tel Awiwie pod opieką Władysława Tubielewicza.

Tubielewicz był w tym czasie zarejestrowany jako tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „Henryk”. W donosach „Henryka” pojawia się m.in. Marek Hłasko.

W najnowszym wydaniu *Pięknego dwudziestoletniego* napisałem o tym otwarciu, bo zachowało się zobowiązanie do współpracy i odręcznie pisane donosy. „Henryk” skarżył się w nich zresztą, że Hłasko jest chorobliwie nieufny. Muszę przyznać, że ta sprawa nie była dla mnie zaskoczeniem. Tubielewicz wydał mi się podejrzany już wcześniej, kiedy usiłowałem się z nim skontaktować. Wykręcał się. Jakiś czas temu usłyszałem, że już nie żyje.



W Izraelu Hłasko czuł się chyba lepiej niż w Niemczech.

Wszyscy ci z nas, którzy przetrwali wojnę pod okupacją niemiecką, mieli awersję do Niemiec. Marek jako dziecko przeżył przecież Powstanie Warszawskie. Potem, latem 1958 roku, zetknął się w Niemczech z kulturalnymi ludźmi i napisał do Giedroycia entuzjastyczny, pełen zachwytu list na temat zachodnich Niemiec. Po czym po dłuższym pobycie w Berlinie Zachodnim i RFN znów pisał o Niemcach zgryźliwe rzeczy – np. w *Pięknych dwudziestoletnich* – doceniając jednocześnie pewne dobre strony życia w tym kraju.

Na ile mógł funkcjonować jako pisarz polskojęzyczny, mieszkając na Zachodzie?

Całkiem dobrze. W PRL prasa chętnie powtarzała za niemieckim tygodnikiem „Der Spiegel”, że od czasu małżeństwa z aktorką Sonją Ziemann (1961) nic nie napisał. Ale przecież – z wyjątkiem przerwy na wyjazd do Izraela – co roku wydawał jakąś książkę. Więcej, w najtrudniejszych dla siebie latach – w czasie depresji zdrowotnych, rozwodu, a potem wegetowania w Hollywood – napisał najpiękniejsze i najwartościowsze książki: *Pięknych dwudziestoletnich* i *Sowę, córkę piekarza*. A przedtem, w pierwszych latach małżeństwa, wydał m.in. obszerną powieść *Brudne czyny*. Jego książki były też tłumaczone na inne języki.

Skąd więc wzięła się czarna legenda Marka Hłaski?

Odnajduję w niej język milicyjnych donosów. Wystarczy zajrzeć do materiałów z archiwum IPN. Hłasko jest tam przedstawiany jako alkoholik, człowiek kompletnie zdemoralizowany, do niczego niezdolny. Tak pisali o nim funkcjonariusze służb PRL, donosiciele i dziennikarze

realizujący polityczne zamówienia. Do tego doszły wypowiedzi osób, u których daje się wyczuć ton zawiści zawodowej. Część tych ludzi dopiero niedawno przeszła na emeryturę. Jeszcze w ostatnich latach pisali oni książki i artykuły albo udzielali wywiadów, powielając wcześniejsze kłamstwa. Tę fałszywą wersję wydarzeń powtarzają dziś czasem młodzi dziennikarze.

Raporty na temat Hłaski trafiały na biurka najważniejszych osób w PRL, takich jak premier Józef Cyrankiewicz. Inwigilowana była również Maria Gryczkiewicz - matka pisarza, a Pana ciotka.

Nie wiem, w którym momencie zdała sobie z tego sprawę. W roku 1966 zmarł jej drugi mąż. Została sama w mieszkaniu i rozpaczliwie szukała dodatkowego źródła dochodu. Ktoś jej zaproponował, żeby odnajęła pokój. Pierwszą lokatorką była redaktorka z telewizji, która - jak wynika z książki *Pajęczyna* Barbary Stanisławczyk i Dariusza Wilczaka - współpracowała ze Służbą Bezpieczeństwa. A potem pojawił się pan Henio, etatowy pracownik SB. Towarzyszył ciotce już do końca jej życia. Sprawiał wrażenie takiego warszawskiego cwaniaczka, który wszystko załatwi: skoczy po papierosy, kupi mięso poza kolejką, jak trzeba - sprzeda jakiś mebel. Grał rolę przyjaciela domu. Ta znajomość nie uchroniła ciotki przed całodzienną rewizją, która miała miejsce w jej domu w kwietniu 1968 roku. Dopiero akta SB wyjaśniły przyczynę tego najścia.

Teza śledczych brzmiała jednak absurdalnie: Marek Hłasko został posądzony o udział w porwaniu i zamordowaniu Bohdana Piaseckiego - syna znanego wówczas działacza politycznego, szefa PAX.

Piętnastoletni Piasecki został wprowadzony jeszcze w 1957 roku. Jednak po latach, wskutek starań jego ojca Bolesława, wznowiono śledztwo. Marek Hłasko – cóż za absurd! – znalazł się w kręgu podejrzanych. Jedną z zarządzonych czynności operacyjnych była rewizja u pani Gryczkiewicz. Poszukiwano maszyny do pisania, broni i kożucha. Skonfiskowano korespondencję z Markiem, rękopisy i książki wydane za granicą. Planowano również przeszukać mieszkanie przy ul. Częstochowskiej w Warszawie, w którym Marek mieszkał bezpośrednio przed wyjazdem z Polski. Przy okazji śledztwa zostali też przesłuchani jako świadkowie matka i znajomi Hłaski. Teraz to wszystko wydaje się groteskowe, ale w gruncie rzeczy śmieszne nie było.

Tajemniczy zgon Marka Hłaski

BONN, 16.6.

W sobotę w Wiesbaden (NRF) w niewyjaśnionych w pełni okolicznościach zmarł Marek Hłasko. Istnieje podejrzenie, iż popełnił samobójstwo. Zwłoki Hłaski znaleziono w mieszkaniu jego znajomego. Policja nie podała żadnych bliższych szczegółów dotyczących przyczyny zgonu, wyklucza jednak możliwość odpowiedzialności za jego śmierć innych osób.

Jak wiadomo, Marek Hłasko, autor wielu opowiadań szkalujących Polskę Ludową, zdradził w 1958 r. ojczyznę i zbiegł do Berlina zachodniego. Przez pewien czas przebywał w Izraelu, a potem w W. Brytanii i NRF.

W czerwcu 1969 roku Marek Hłasko zmarł nagle w Wiesbaden. „Express Wieczorny” pisał o śmierci „zdrajcy ojczyzny”, który jakoby szkalował „Polskę Ludową”.

Była to kolejna kropla gorzkości. Zupełnie inaczej zareagowała telewizja w RFN – w dniu pogrzebu Marka zmieniono program i pokazano *Pętlę*, która powstała na podstawie opowiadania Hłaski. W Polsce były jeszcze dosyć złośliwe teksty Jana Zbigniewa Słojewskiego – a potem długa cisza. Chyba w latach siedemdziesiątych Michał Komar napisał o Marku, bardzo jednak oględnie. Wyjaśnił potem, że miał do wyboru: albo nic nie pisać, albo napisać w ten właśnie sposób. Uznał, że warto przypomnieć o Hłasce.

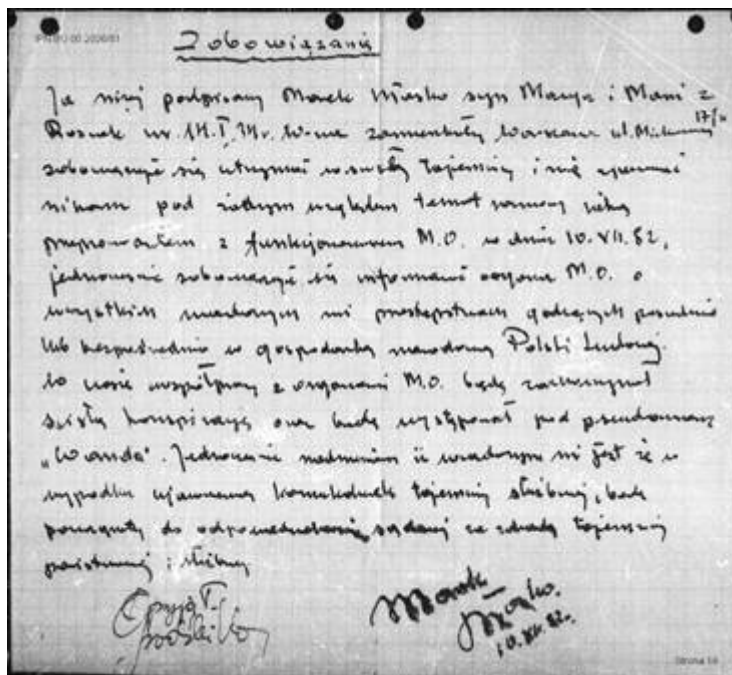
Na ile proza Marka Hłaski była dostępna w PRL po jego śmierci?

W latach siedemdziesiątych ukazywały się pojedyncze opowiadania w antologiach noweli polskiej. Około roku 1980 ruszyła lawina podziemnych wydawnictw. Zimą 1981 roku Teatr Kameralny w Krakowie – przy współpracy Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” – przygotował bardzo zabawną inscenizację *Cmentarzy*. Wystąpili świetni aktorzy: Jerzy Stuhr, Jerzy Trela, Jerzy Radziwiłowicz. Potem był stan wojenny. Ale powoli coś się zmieniało na lepsze. W 1983 roku Bogdan Rudnicki wydał literacką biografię Marka Hłaski, w której zręcznie przemycił utwory w Polsce niedrukowane, obszernie je streszczając. Czytelnik wydał w 1985 roku czterotomowe *Utwory wybrane* – tandetnie sklejone, ale w kolosalnych nakładach. Były jednak pozbawione i *Sowy, córki piekarza*, i *Pięknych dwudziestoletnich*. Ten drugi utwór padł ofiarą cenzury – cięć było więcej, niż

pozostałoby tekstu. Jeszcze przed 1989 rokiem zgłosiło się do mnie wydawnictwo Alfa i wreszcie ukazała się książka *Piękni dwudziestolenni*. Cenzura wycięła tym razem tylko dwa zdania.

Na blogu internetowym Marka Mądrzaka pojawiła się informacja, że w roku 1952 osiemnastoletni Marek Hłasko został zwerbowany do współpracy z „organami MO” i otrzymał pseudonim „Wanda”.

O tym, że takateczka istnieje, usłyszałem już w roku 2000. Sam Hłasko opisał zresztą tę sprawę w *Pięknych dwudziestolennich*. Niedawno udało mi się zapoznać z treścią teczek. Rewelacji nie ma. Jest potwierdzenie tego, co Hłasko pisał o sobie, nie tylko niczego nie ukrywając, ale jeszcze mocno koloryzując na swoją niekorzyść. Gdy we Wrocławiu zaczął pracować jako kierowca, miał zaledwie szesnaście lat. Po roku przeniósł się do stolicy i



podjął tam podobną pracę w „Metrobudowie”. Został wówczas wytypowany jako korespondent „Trybuny Ludu”. Pisał krótkie notatki dotyczące biurokratycznych przeszkód utrudniających pracę. Ludzie z tej gazety spowodowali przeniesienie go do pracy w transporcie PSS i MHD w Warszawie. Zakładano, że umiejący posługiwać się słowem pisany chłopak będzie dobrym współpracownikiem milicji w śledzeniu podejrzewanych tam nadużyć. Werbując go do współpracy, posłużono się dość nieskomplikowanym szantażem: „Skoro pracujesz w firmie, w której na pewno występują kradzieże, to musisz nam o tym donosić – jak nie, to będziesz współwinny”. Marek się zgodził. Ta współpraca trwała zaledwie kilka miesięcy – od grudnia 1952 do kwietnia 1953 roku. Wtedy zakończył pracę kierowcy i wyjechał do Wrocławia. Wkrótce został bez żalu skreślony z listy współpracowników milicji. Uznano, że jego informacje były mało wartościowe. Nie otrzymywał za nie żadnego wynagrodzenia, co w dokumentach kilkakrotnie podkreślono. Swoimi doniesieniami starał się nikomu nie szkodzić, często świadomie wprowadzając w błąd swoich rozmówców z MO, szczególnie gdy chodzi o powojenne losy swoje i swojej rodziny. Cała ta sprawa nie miała żadnego związku z późniejszą działalnością Marka Hłaski jako publicysty i pisarza.

W najnowszym wydaniu *Pięknego dwudziestolenniego* daje Pan do zrozumienia, że to wydanie ostatnie.

Ze względu na mój wiek. Ja zresztą w ogóle nie miałem zamiaru pisać biografii Marka. Dla

mnie, architekta, napisanie czegoś więcej niż kilka stron opisu technicznego było kiedyś bardzo męczące. Nie jestem literatem. Jestem tylko świadkiem historii i kronikarzem rodzinnym. Postanowiłem jednak dać odpór nieprawdziwym legendom, jakie krążyły na temat Marka. Niestety, od czasu do czasu te legendy są wciąż rozpowszechniane.

Rozmawiał Filip Gańczak

Jest to uaktualniona wersja tekstu, który ukazał się w numerze [2/2013](#) miesięcznika „Pamięć.pl”.

Liczba wejść: 50871, od Data publikacji 11.01.2017